

sienie ziemi, które przed kilku dniami nawiedziło południowo zachodnie wybrzeże Ameryki, które zamieniło w perzynę kilkanaście kwitnących miast, a tysiące istnień ludzkich pogrzebało w ruinach zwalonych domostw, rzuciło także w głąb Oceanu tę małą, osnutą poezją wysepkę Robinsona. Według nadeszłych z Valparaiso wiadomości ze wspańiałej tej wysepki nie pozostało ani śladu. W miejscu, gdzie jeszcze do niedawna natura roztaczała cały swój przepych, gdzie góry i doliny jaśniały w przepysnej wspaniałości wiecznie zielonych lasów, gdzie z pośród bukietów czarownego kwiecica tryskały kryształne źródła, dzisiaj z szumem i hukiem przewalają się fale Oceanu, który jakby na ironię nazwano Spokojnym. Nie pozostało po tej wysepce ani śladu nawet, wszystko pochłonął wiecznie głodny Ocean.

Wyspa Robinsona, której ogólny widok podajemy na załączonej obok rycinie, miała kształt trójkąta o podstawie, sięgającej blisko 13 mil, a wysokości 5 mil morskich. W trzech kierunkach rozciągały się na niej góry, sięgające do 1000 metrów wysokości. Powstała ona kiedyś wskutek wybuchu wulkanu, a znikła, jak zwykle znikają wysepki tego typu, podczas trzęsienia zie-

mi. Brzegi jej skaliste, pełne cyplów i raf, nie pozwalały zbliżyć się ku nim większym okrętom. Nawet łódką trudno się było dostać do brzegu, gdyż fale rozbiły się o nadbrzeżne skały z taką siłą, jakby tam zawsze szalała burza.

Wysepkę tę zaczęła jeszcze w XVI wieku kolonizować Hiszpania, ale z niewiadomych przyczyn wkrótce kolonizacyi zaprzestano. W przeszłości tem ustroniu żyły jeno całe gromady kóz, które, przywiezione przez odkrywców, wkrótce się ogromnie rozmnożyły. W 17 i 18 wieku żyło na tej wysepce kilkunastu ludzi, po większej części rozbiteków okrętowych. Najbardziej znanym z nich jest angielski sternik Aleksander Selkirk, który gnany po prostu żądzą wrażeń i przygód, dobrowolnie przebywał na tej wyspie przez cztery lata i cztery miesiące, mieszkając w grocie, zwanej później jaskinią Robinsona. Codziennie wychodził on na szczyt góry, szukając oczyma żagli okrętowych na bezmiernej toni Oceanu, aż wreszcie w roku 1709 jakiś statek angielski uwolnił go z niewoli. Przygody jego, spisane w dzienniku okrętowym przez jego oswobodziciela, kapitana Rogersa, później ogłoszone drukiem, były zapewne pierwszą pobudką dla Defoe'go, który w roku 1719

ukończył był znaną wszystkim powieść „Robinson Kruzo“. To, co przeżył Selkirk, z biegiem czasu złożyło się powoli z tem, co odmalowała bujna fantazja Defoe'go, tak, że ostatecznie jaskinię, w której mieszkał Selkirk, nazwano jaskinią Robinsona, a później nawet wyspę całą nazwano wyspą Robinsona.

Hiszpania, pod której zwierzchnictwem znajdowała się wyspa Robinsona od najdawniejszych czasów, mało na nią jednakże zwracała uwagi i dopiero w 18 wieku zbudowała tam twierdzę, a przy niej więzienie dla zbrodniarzy. Ustawiczne bunt, jakie wybuchały w tem więzieniu, okropności, jakie się tam rozgrywały, spowodowały, że wyspę tę uważano jakby za wyklętą, tak, że mimo czarującej przyrody i żyzności do ostatnich czasów pozostała prawie niezamieszkaną. Nieliczni mieszkańcy opowiadali sobie przerażające historie i legendy o tem rajskim zakątku i sami żyli w strachu ustawicznym. A przecie była to wysepka, która oczom podróżnika przedstawiała się jako kraina z bajki, pełna czaru i przepychu. Mały ten świat, ze wszystkimi swoimi cudami, przed kilku dniami zatonął w głębiach Oceanu.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

22

(Ciąg dalszy).

W sali stołowej we dworze ogień strzela na staroświeckim kominku.

Cześć ze Zdzisławem siedzą za stołem, pijąc mleko gorące. Chwilami kłócą się chłopcy o coś między sobą — zwyczajnie jak dzieci.

Wtedy godzi braci stara Teklunia, rozsądzając spór groźny zawsze w taki sposób, iż albo obu chłopcom przyznaje słuszność, albo też nie przyznaje żadnemu, co zawsze ma skutek jednaki: zgodę chwilową.

Dzieciom przykrzy się. Więc pocziwa Teklunia coraz to nowe wymyśla rozrywki, a kiedy jej samej w obecnym przygnębieniu brak już dowcipu i nowych pomysłów, brak nawet ochoty do zabawy chociażby z ukochanymi dziećmi — radzi chłopiętom pójść spać, wieczór bowiem coraz późniejszy, a o powrocie ojca do domu niema co już myśleć.

Ani Zdzisław ani Cześć nie chcą jeszcze kłaść się, mimo, że się im kleją błękitne oczęta. Ale Teklunia przyrzeka, że im do snu dawnym zwyczajem śliczną zaśpiewa piosenkę lub cudną opowieść bajeczkę... Więc się chłopcy pozwalają wyprowadzić z sali stołowej i zaczynają rozbierać w swoim pokoju, każdy przed swoim łóżeczkiem.

I tutaj ogień pali się jasnym płomieniem na kominku, co chwila główienka strzela z hałasem, a w czeluściach pieca huczy — jako ten wichur wyjący w koło dworu w swoich harcach ze śnieżycą.

Ułożyły się wreszcie dzieci na posłaniach. Aliści spać nie będą, dopóki im stara klucznica przyrzeczenia nie spełni. Cześć upomina się o piosenkę, którą mu zazwyczaj śpiewała do snu Teklunia, kiedy jeszcze był mniejszy i zasypiał w kołysce... Zdzisław znowu nie chce śpiwki, ino prosi o bajeczkę, taką ładną bajeczkę, w której były różne rzeczy, ale z której zapomniał już wszystko.

— Więc ty nie chcesz bajeczki, a ty śpiwki nie chcesz... dobrze, dzieci, ani tego nie będzie, ani tamtego, tylko coś nowego, ale musicie zaraz grzecznie zasnąć, jak babcia skończy... No, słuchajcie cichutko...

Siada Teklunia w głębokim fotelu w pobliżu kominka, przyciemniwszy lampę na stoliku — i powoli dzieciom opowiada w takt zegara głośno tykającego w rogu pokoju na komodzie pod zwierciadłem.

A chłopcy wsłuchani w muzykę słów staruszki, z których mało co mogą zrozumieć — zasypiają powoli bezwiednie...

Klucznica miarowo ciągnie swe opowiadanie: „Lubo jeszcze ćma w krąg chaty, poszli starzy na Roraty; drobiazg ostał się jedynie podle ognia na kominie.

Strzelaj, ogniu, niby z bata!

Niech się w blaskach skąpie chata, kiedy sobie poszli starzy, patrzeć w siedem jasnych świec... Niech się w domu dzieciom marzy, kędy złotem gore piec, baśń czarowna jakaś cudna, tęczy szczęścia wizja złudna...

Strzelaj, ogniu, niby z bicia!

Już tu sobie gospodarzy dziwna wróżka tajemnicza...

Więc się dzieciom w chacie marzy bajecznego królewicza czarodziejski zamek-dwór...

Szczerozłoty jego mur, siedem okien światłem płonie...

A królewicz sam w koronie na biesiadę sprasza gości do ciekących miodem kruż, gdzie z słońcowej stoją kości stoły pełne rajskich gruszek...

A z moździerzy czeladź wali!

Srebrny dach i siedem wież z pereł morskich i koralu...

Wróżko z bajki, śpiesz się, śpiesz!

Z siedmiu okien bucha żar...

Strzelaj ogniu niby z bicia, póki ciemność tajemnicza... Rychło dzień — i pryśnie czar!

Niech się dzieciom bajka marzy, póki w blaskach płonie piec... kiedy z domu poszli starzy patrzeć w siedem rannych świec...

Umilkła klucznica.

Obaj chłopcy już spali, zanim skończyła staruszka. Cisza wielka zaległa pokój, tylko pryskaniem iskieł na kominku przerywana niekiedy.

Zresztą dwór cały pogrążony był w spokoju wieczornym, bo i czeladź już się do snu pokładała, a ten i ów roboty nie dokończywszy, drzemał już nad nią... Taka senność dziwna zaczynała panowanie swoje w ciepłym domu, wokół śniegiem zawianym.

Toż i głowa Tekluni w fotelu przy ogniu zaczęła chwiać się, przyczem powieki coraz bardziej zapadały na znużone oczy.

Gdy wtem drzwi skrzypnęły złowroźnie, aż się ocknęła zniemacka klucznica.

W progu stanął człowiek biały jak widmo, cały zaśnięty...

Przetarła oczy Teklunia, zerwała się z fotela i podreptała przez pokój cichutko ku niemu, palcem nakazując mu spokój ze względu na śpiące dzieci.

Cofnął się z progu człowiek śniegiem oblepiony. Wyszła za nim klucznica na kurytarz i w twarz mu spojrziała uważnie.

Poznała tego rosnącego, jak sosna, parobka.

— Ty od Chocimskich... Nieszczęście jakie... co... mów...

— Wasza pani dziedziczka umiera... mój pan mnie przystąpi konno... żeby pani klucznica kazała w te pędy zaprzęgać i przyjeżdżać do nas, coby ile nie za późno...

Teklunia omal że się na głos nie rozplakała, usłyszawszy wiadomość niespodziewaną od konnego posłańca, ale w porę zdołała nad sobą zapanować, byle dzieci nie rozbudzić.

Od progu wróciła po cichu do ich pokoju, zgasiła przyćmioną lampę, potem poprawiła knotek w oliwnej amplii kolorowej przed obrazem Matki Boskiej, przed jednym i drugim łóżkiem zatrzymała się, by sprawdzić, czy chłopcy dobrze okryci, poczem westchnawszy, szepnęła do siebie, spoglądając na odchodem na śpiące dzieci:

— Biedne wy sierotki... ani to ojca, ani matki...

Nie minęło ani pół godziny, a już klucznica, cała zamatulona przed mrozem i śniegiem, śpieszyła saniami dworskimi w stronę folwarku Chocimskich, których parobek biegł konno przodem wśród ciemności nocnych.

Wiozła z sobą Teklunia własną apteczkę domowych środków wypróbowanych i niezawodnych. Pokładała w nich nieco nadziei, ale mimo to bliską była rozpaczy przez całą drogę, ile razy tylko zastanowiła się nad smutnym stanem biednej pani Edwardowej.

Posłaniec bowiem już jej opowiedział mniej więcej, jakie to przygody spotkały dziedziczkę, o której Tekla dotychczas nie przypuszczała nic innego nad to, że wprost ze dworu jeszcze przed paru dniami zajechała do Chocimskich wieczorem, a nie wiedziała zrazu o porwaniu jej przez wysłańca Felicję, Wosinkę, który ją wywiózł na folwark do księdza Jana, a już tem mniej o jej podróży stamtąd znowu po nocy do Chocimskich z pomocą Moszka, Felicji i Wosinka.

Jeszcze nie było północy, gdy starą klucznicę wprowadziła pani Chocimska do pokoju chorej.

Dziedziczka wyglądała na pościeli jak martwa, zdawało się, że lada chwila ostatnie już wyda technienie. Leżała nieprzytomna i nie poznała Tekluni, która ze łzami w oczach przystąpiła do łóżka, żeby jeszcze spróbować swoich leków.

Nikt oka nie zmrugał do rana.

Pan Chocimski opowiedział klucznicy, w jakim stanie znalazł panią Edwardową w śniegu, porzuconą przez Wosinkę.

Dopiero około południa polepszyło się chorej do tego stopnia, że we wszystkich wstąpiła nadzieja, iż przecie da się może utrzymać ją przy życiu. Dziedziczka poznała klucznicę i słabym głosem spytała o dzieci.

Moszko wyskoczywszy oknem z płonącego domu — przepadł od razu, ni to kamień w wodę. Daremnie oglądała się za nim Felicja. Nie było go nigdzie.

A na miejscu pożaru zgiełk zrobił się tymczasem wielki. Garstka służby folwarcznej rykiem była rozbudzona, wybiegła z obory i dalszych zabudowań gospodarskich. Potracili naraz wszyscy głowy na widok ognia.

Nikt nie śpieszył ratować,

Dopiero furman, który ze dworu przywiózł siostrę Felicję tej nocy, jał na gwałt wyprowadzać na pole konie i krowy. A czas był na to ostatni, bo nagle dach obory stanął także w ogniu, poczem zaraz i stodoła najbliższa zamieniła się w słup płomienisty.

Wicher szalał bez ustanku, ogień zaś podłożony ze wszech stron, obejmował żywo cały folwark, że nie sposób było przystąpić bliżej do pożaru. O ratunku tedy nie mogło być mowy, tem mniej, ile że ludzi do tego zdolnych jako-tako znajdowało się na miejscu ledwie kilkoro, a ci właśnie ze strachu zdębieli, ręce załamali i dalejże rozpaczć a biadać bezradnie.

Przez ten czas ksiądz Jan, jak z pochodnią w ręce, stał w ogrodzie na boku i nie wypuszczał płonącej główki z dłoni, przypatrywał się pożodze z uśmiechem ironii na ustach.

Wtem zoczyła go siostra Felicja i natychmiast podbiegła ku niemu.

Waryat spostrzegł jej ruch i skokiem niespodziewanym wypadłszy z za płotu, miał już rzucić się na nią.

(Ciąg dalszy nastąpi).